Dodatek do Nr. 22 „Prawdy“.

RODZINA
PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 11. Niedziela, dnia 28-go Maja. Rok 1911

BOŻEK MILION.

Powieść przez Waleryę Marrene (Morzkowską).

(Ciąg dalszy.)

Kamerdyner na widok syna dawnego pana swojego, doznał dziwnego wrażenia. Blade źrenice jego zamigotały jakąś błyskawicą niepewną, która nie zdołała jednak rozproszyć mętów tego ducha, ale wskazała je tylko dokładniej, niby chmury w czasie burzy zalegające horyzont. Trudno było nawet rozpoznać rodzaj uczucia, jakie w nim wzbudzał obecnie młody człowiek, gdy stał w progu ponury, wahający się, jakby nie wiedział, jakiem powitać go słowem.

Ale Kiljan zajęty własnemi myślami, nie zwrócił na to baczniejszej uwagi, i przystąpił bliżej. Ciarkowski cofnął się, może przez nawyknienie uszanowania, i obadwaj znaleźli się w pokoju stanowiącym kiedyś salonik Andzi. Stary fortepian stał w kącie, obłożony kilkomiesięcznym kurzem, tak samo jak stół zasłany serwetą, firanki i kwiaty w oknie. Opuszczenie w mieszkaniu i w postawie Ciarkowskiego tak było widoczne, że Kiljan zauważyć je musiał.

— Gdzie Andzia? — zapytał, oglądając się wokoło.

Na imię córki, wymówione tak znienacka, Ciarkowski zadrżał od stóp do głowy.

— Umarła, — odparł głucho.

Głos jego podobniejszym był do stłumionego ryku niż do ludzkiej mowy. On kochał córkę swoją. Uczucie to pełne było upodlenia i nikczemności, jak serce tego człowieka, a jednak istniało w nim silne, jedyne. Ugodzony w nie, stracił równowagę moralną — cel życia. Szalbierstwo jego, czelność, chciwość nawet, były już tylko nawyknieniem; szedł dalej torem dawnym, jak machina własnym rozpędzona ciężarem. Pozbawiony jedynego dodatniego uczucia, jakie posiadał, zarówno nienawidził teraz wszystkich i wszystko; ale nawet nienawiść ta była ślepą i bez kierunku, nie miała prawie ludzkiej cechy.

— Umarła, — powtórzył smutnie Kiljan, zapominający w tej chwili krzywd doznanych i złej woli tego człowieka, a myśląc jedynie o bólu i sieroctwie jego. — Umarła! tak młoda, tak pełna życia!

Ale żal Ciarkowskiego nie był z tych, które się łagodzą współczuciem. Śmierć córki, w przekonaniu jego ciążyła na społeczeństwie całem, na każdej istocie ludzkiej, którą widział. Ta zwichnięta natura niezdolną była oddzielić niewinnych od winowajcy. Dlatego patrzał na Kiljana z rodzajem okrucieństwa. Blade źrenice jego zachodziły krwią, i miotały skośne połyski z pod brwi wypełzłych; były to oczy hyeny w głowie lisa.

I od podobnego to człowieka zależał teraz los Kiljana. Spoglądał on na ten potworny żyjący hieroglif, nie mogąc go wyczytać. Uczucia Ciarkowskiego były tak zwierzęco nielogiczne, że leżały zupełnie poza promieniami pojęć Kiljana. Znając je, można było wyzyskać je, i pokierować piorunami nienawiści, nagromadzonemi w piersi tego człowieka — opanować go, i stać się tym działaczem, którego mu brakło. Ale Kiljanowi nieznaną była smutna historya Andzi, nie wiedział, kto był sprawcą jej śmierci. Patrzał więc na jej ojca, nie znajdując słów pociechy na boleść podobną. Jednak traf, który teraz wyraźnie wziął go w opiekę, mądrzejszym się okazał od przewidzeń ludzkich, i włożył mu w usta słowa właściwe. Jak zwykle w życiu, tak i tutaj, szedł on prosto do celu swego, a droga ta okazała się tym razem lepszą, niż najwięcej obmyślany wybieg.

Po krótkiej chwili, widząc, że Ciarkowski więcej nie pragnął mówić o córce, przystąpił Kiljan do rzeczy, która go tu przywiodła.

— Nie wiedziałem nic o nieszczęściu jakie cię spotkało — wyrzekł łagodnie — i przyszedłem rozmówić się z tobą w bardzo ważnej sprawie.

— A to w jakiej? — spytał podejrzliwie Ciarkowski; — a co mnie teraz cudze sprawy obchodzą?

Kiljan nie zraził się tem mało zachęcającem przyjęciem.

— Nie wiem czy wiesz — zapytał patrząc w twarz ekskamerdynera, — że hrabia Wilhelm żeni się w tym miesiącu.

Słowa te, będące prostym wstępem do historyi odkryć Kiljana, zrobiły na ojcu Andzi wrażenie gorącego żelaza, przyłożonego do świeżej rany. Porwał się z miejsca jak rozwścieczony bólem.

— Tak, tak! — zawołał wygrażając nieobecnemu zaciśnięte pięścią; — tak, on się żeni, a moja biedna córka umarła. Tak zawsze bywa. Stary posyłał nas do Ameryki, obiecywał złote góry,

chciał się pozbyć nas jakimbądź kosztem; przyszła śmierć i uprzątnęła mu drogę. Ale ja pomścić ją muszę, ja ją pomszczę.

Zamilkł wlepiając szeroko rozwarte oczy przed siebie, jakby szukając zemsty, i tego, co na nią zasłużył. Wzrok jego padł na Kiljana, o którym zdawał się zapominać, i nagle źrenice jego zapałały, jak u dzikiego zwierza, znajdującego zdobycz pożądaną. W tym spaczonym umyśle widok młodego człowieka obudził w końcu myśl wyraźną. Czyż nie miał w ręku swojem zemsty straszniejszej, niż był w stanie wymarzyć? czyż los i byt Horeckich nie zależał od słowa jednego, które on, Ciarkowski, mógł wymówić? Hrabia Wilhelm może nie wiedział o tem; bez troski i trwogi używał życia, depcąc ludzi jak marne robaki po drodze swojej. Tem lepiej, tem lepiej, grom będzie straszliwszy, im mniej spodziewany.

Kiljan spoglądał na niego, nie rozumiejąc dokładnie tego steku brudnych uczuć i myśli; czuł jednak poza nieładem słów Ciarkowskiego jakiś moralny kryzys i przechylenie się tego przewrotnego umysłu. Jednak to wszystko razem było mu tak wstrętne, że milczał, nie mogąc zdobyć się na odwagę wyzyskania go dla siebie.

Ale Ciarkowski nie potrzebował zachęty, by mówić dalej. W innej chwili sam wstyd wobec człowieka, któremu za dobrodziejstwa ojca odpłacił zdradą, byłby mu zamknął usta. Spojrzawszy na czyste czoło Kiljana, byłby się zawahał wyznać spełnioną zbrodnię; wreszcie lękałby się może słusznego gniewu jego. Teraz jednak on nie patrzył na nic, tylko w obrazy myśli swojej, i szedł dalej uniesiony prądem własnych uczuć, niebaczny na drugich równie jak na samego siebie.

— To nieprawda — zawołał — on nie ożeni się nigdy; dopóki ja żyję, potrafię stanąć mu na drodze.

I płowe źrenice zwrócił na Kiljana, z rodzajem tryumfu szukającego podziału; ale spotkał wzrok jego jasny i spokojny.

— Tak jest — wyrzekł młody człowiek trzymając go pod potęgą swego wejrzenia — ty Ciarkowski możesz to uczynić; możesz stanąć w poprzek drogi jego, tak samo jak zrobiłeś ze mną. Ty znałeś moja matkę, służyłeś u ojca mego w czasie krótkotrwałego pożycia w Valparaiso.

Na te słowa, których nie spodziewał się nigdy; ekskamerdyner zbladł i zadrżał. Jakkolwiek przygnębiony własną stratą, lękał się Kiljana; krzywda, którą mu wyrządził była zbyt wielką. Zmierzył ją instynktem chciwości swojej, by zrozumieć przebaczenie, i stał przez chwilę jak spiorunowany, nie śmiąc spojrzeć w oblicze młodego człowieka. A przecież ten był spokojny jak zwykle. Tryumf otrzymany, zeznanie, za które starczyło pomieszanie Ciarkowskiego, tak samo jak i cierpienie nie zdołało zachwiać pogody jego ducha. Spoglądał na zbrodniarza stojącego przed nim w trwodze i pomieszaniu, więcej z litością niż wzgardą.

— Uspokój się — wyrzekł wreszcie, nie mogąc doczekać się słowa z ust jego — widzisz, że już wiem wszystko.

Ciarkowski podniósł oczy ukradkiem, i spuścił je znowu. Łagodność Kiljana niepojętą była dla niego.

— Pan hrabia wiesz wszystko! — wybełkotał zaledwie słyszalnym głosem.

Ten tytuł, który były kamerdyner wracał mu tak nagle, wywołał tylko uśmiech Kiljana.

— Wieleż ci zapłacono za milczenie? — zapytał po chwili.

W każdym innym razie to pytanie byłoby obudziło nieufność Ciarkowskiego; ale teraz przywiodło mu tylko na pamięć wyrządzoną mu przez Wilhelma krzywdę.

— Zapłacono mi — szepnął przez zaciśnięte zęby — śmiercią mego dziecka. Ale zapomnieli, że i ja, nędzny, zdeptany robak, mam w ręku coś, czem ich zgubić mogę.

— Więc dowody urodzenia mojego znajdują się u ciebie? (C. d. n.)

Rozum stępieje, szczęście się odmieni,
Męstwo się z czasem zachwieje,
Sama wiara niespożyta,
Jej zawsze przyszłość się zieleni.

Szczęście w rodzinie.

Rzecz wiadoma, że niema na świecie prawdziwego szczęścia. Musimy często walczyć — to z chorobą, to z niepowodzeniem, to martwimy się o siebie, to o innych. Bywają przecież czasy wytchnienia, spokoju, chwile szczęśliwe, a w smutku pozostaje nam ufna modlitwa do Boga i ta nadzieja, że — jak to powiedział pięknie nasz wielki poeta, Jan Kochanowski: „po złej chwili piękny dzień nadchodzi".

Ale są też nieszczęścia, którym winniśmy sami. Bywają nieraz rodziny, którym i zdrowie sprzyja i posiadają majątek albo też zarabiają tyle, że wystarcza na życie porządne i na dostatni przyodziewek, a jednak źle tym ludziom na świecie, a dom ich — to obraz smutku. I czemu? Bo w domu tym niema jedności, zgody, niema ładu i składu.

I bywają rodziny, w których naprawdę króluje ubóstwo, a jednak pogodne są tam twarze, rzadko słowa skargi pojawiają się na ustach.

Skąd ta różnica?

Bo tu panuje jedność, zgoda, tu jedno drugie kocha serdecznie, nie słychać kłótni, przekleństw, tu ojciec nie spędza wieczorów przy kieliszku lub kartach, matka nie biega po kumoszkach na plotki, ale wieczorem, po pracy zbierają się wszyscy przy jednym stole, opowiadają sobie wzajemnie, co widzieli, robią plany na przyszłość, ojciec bierze gazetę lub książkę zajmującą do ręki i czyta głośno zebranej rodzinie. A później znów rozmowa o tem, co się przeczytało.

Przyszedł czas spoczynku: matka i dziewczęta odłożyły ręczne roboty, uklękli wszyscy do wieczornej modlitwy i spokojnie zasnęli po pracy, spokojnie, bo z czystem sumieniem. Wiedzieli, że nazajutrz ledwo świt, znów powrócą do zajęć, ale to nic, cóżby to było za życie bez pracy?

Wszyscy pewno słyszeli o tem lub czytali, że są tacy ludzie na świecie, i u nas, a więcej ich jeszcze w Ameryce, którzy mają tyle pieniędzy, tyle pieniędzy, że sami nawet nie pamiętają, ile — i dopiero muszą zajrzeć do książek, aby się o tem przekonać. A jednak, bo tam oni szczęśliwi? — Broń

Boże! Niczego już nie pragną, gdyż wszystko prawie za pieniądze mieć mogą; użyli wszystkiego, nic już ich nie bawi, nic nie cieszy. W tych wielkich, złocistych pałacach nudzą się na potęgę. Podają im na stół najwyszukańsze potrawy, przysmaki, sprowadzane na wagę złota z dalekich krajów, ale nic im nie smakuje, bo sobie temi wyćwierami popsuli żołądki, a zresztą ten tylko je z apetytem, kto na obiad zasłużył. Nieraz też czytamy w gazetach, że ci bogacze, przesyceni zbytkami, straciwszy zdrowie na wszelkiem używaniu, dostają pomieszania zmysłów albo też odbierają sobie życie. Śliczny koniec!

A jednak gonitwa za zdobyciem pieniędzy, jak najwięcej pieniędzy, bez wszelkiego zachodu, tylko przez spekulacye, często nieuczciwe, to istna choroba naszych czasów. — I dlatego znika poszanowanie rzetelnej pracy. Czowiekowi już nie wystarcza, że sobie jako tako byt zabezpieczył, tylko pragnie zdobyć coraz więcej, niby to dla szczęścia dzieci, a tymczasem wychowanie dzieci właśnie zaniedbuje, bo nie ma czasu się zająć niemi i zapomina, że największy majątek, jaki może dać dzieciom, to uczciwe, rzetelne wychowanie, to przyuczenie do pracy, aby miały, jak to się mówi: „chleb w ręku".

Największe szczęście jest w stanie średnim, czyli w stanie ludzi pracy, mówił nasz pierwszy znany poeta, Mikołaj Rej, i miał słuszność. Prawdziwe, rzetelne szczęście, nie u wielkich panów, ale u ludzi, którzy pracują przez tydzień cały i cieszą się myślą o niedzielnym odpoczynku, niedzielnej rozrywce. Jaka to radość ogólna w sobotę wieczór, że nazajutrz można pospać dłużej, wziąć czystą bieliznę, odświętne ubranie, potem pójdzie się do kościoła, aby wznieść ducha do Boga, bo „nie samym chlebem żyje człowiek," powiedział Pan Jezus. — Po obiedzie czas na czytanie, rozrywki. W niedzielę matka też lepszy obiad ugotuje, bo tak miło kobiecie dogodzić swoim, każdemu do gustu, aby wszystkim smakowało. Wymyśla, wymyśla kobiecina obiady, wieczerze, aby nie dawać przecież ciągle jednych i tych samych potraw, gdyż się sprzykrzą, a stara się ugotować smacznie, pożywnie, nie przesolić, nie przypalić, nie zmarnować, bo szkoda cięko zarobionego grosza. Uchowała wieprzaka, porządnie podkarmiła, jest więc i słonina na okrasę i kawałek wędzonego schabu do barszczu, mleka też dzieciskom nie poskąpi, bo wie, że to dla nich najzdrowsze. Chleb u niej najpiękniejszy w całej wsi, aż zazdroszczą sąsiadki, ale też z niej gospodyni dobra ,zapobiegliwa, pracowita, — oj, taka żona — to męża korona.

To też mąż ją szanuje, z domu nie ucieka, — bo w nim tak cicho, czysto, ładnie. Kobiecina nigdy niby się nie śpieszy, a wszystko na czas gotowe; prawda, że nie traci godzin całych na wystawanie przed domem, gadanie próżne z sąsiadkami, i nie lata ciągle na targi do miasta, jak to robią inne.

A jaka korzyść z takiego latania? Ano, chyba taka, że się nachodziła, nogi ją bolą, a w domu tymczasem dzieci zostały bez opieki, chata niesprzątnięta. Janek oparzył się, gdy razem ze starszą Zośką gotowali obiad! Dziewczyna nie bardzo umiała sobie radzić, boć to jeszcze małe. Barszcz przydymiony, kartofle twarde, niedogotowane, a choć wszyscy głodni, to jeszcze w gardło nie idzie. Ojciec zły — przeklina, na czem świat stoi i matkę i dzieci, starszego chłopaka nawet pobił, nie wiedzieć za co. Kobieta wraca do domu, zaczynają się lamenty, narzekania, przeklinania, a biedne dzieci tego wszystkiego słuchać muszą. Oj, w takiej chacie szczęście nie zamieszka, taka kobieta dzieci uczciwie nie wychowa, nie da szczęścia mężowi, którego w brudnym, nieporządnym domu nie utrzyma i nie będzie dla swych dzieci tą świętością, którą one mają kochać i czcić, tak jak nakazuje przykazanie Boże.

Oby w naszym kraju raz na zawsze zginęły takie kobiety, oby każda gospodyni była „koroną swego męża".

PIEŚŃ MAJOWA.

Zawitał dla nas majowy poranek,
Ziemia i niebo błogo się śmieje;
Podajcie kwiaty, aby uwić wianek,
Lecz wianek taki, który nie więdnieje.
Na żyznej ziemi kwiat pełny urośnie,
Na twardej skale tylko głóg kolący;
A my na wianek zbierajmy przy wiośnie
Nie ostre głogi, ale kwiat woniący.
Na nas Marya w radości pogląda,
Jako ta gwiazda, co na niebie świeci.
Przyjmie ten wieniec, innego zażąda,
Wianka serc naszych: jako serc Swych dzieci.
Bo kwiaty ziemi, o, jak krótko trwają!
Jak gwiazdy gasną, tak kwiaty więdnieją,
A wiatry uschłym badylkiem igrają
I zżółkłe listki po świecie rozwieją.
Złóżmy na wieniec wszystkie serca cnoty,
Które wykwitły w sile Jej opieki,
Dajmy kwiat szczęścia, dajmy kwiat tęsknoty,
A taki wieniec nie uschnie na wieki.

Ks. Karol Antoniewicz.

O SZKLE.

Znaczenie szkła i jego starożytność.

Szkło należy do nieodzownych przedmiotów codziennego użytku. Wprawdzie w dawnych czasach obchodzono się bez niego, dziś jednak nie znają go wyłącznie ludy dzikie, wszędzie zaś pozatem można je zobaczyć w każdym, chociażby najuboższym domu: nawet ci, którzy nie używają do picia szklanek, lecz garnki lub kwarty, mają jednakże szyby szklane w oknach.

Jedną z głównych wartości użytkowych szkła stanowi jego przezroczystość. Dzięki jej nadaje się ono na wyrób szyb, mających wpuszczać światło do mieszkania; dzięki jej można zawsze z łatwością sprawdzić czystość oraz zawartość naczyń szklanych.

Szkło jest nadzwyczaj kruche, pęka i tłucze się niezmiernie łatwo tak, że przysłowie aż przyrównywa do niego szczęście, również odznaczające się nietrwałością: „szczęście, jak szkło: aby upadło, to i przepadło".

Jednakże pomimo to, przy ostrożnem i umiejętnem obchodzeniu się, wyroby szklane mogą trwać nietylko całe lata, ale nawet setki lat. Naturalnie, zwykłe szklanki lub karafki nie przechowują się ni-

gdy tak długo, ale zato piękne kielichy lub puhary z różnemi ozdobami, cenione właśnie dla swojej niezwykłości, trwają nieraz całe wieki. W różnych naszych muzeach, czyli zbiorach ciekawych rzeczy z dawnych czasów, można oglądać kielichy, puhary, szklenice lub dzbany rżnięte z czasów saskich (XVIII w.), Sobieskiego, a nawet i dawniejszych.

W zbiorach Zygmunta Glogera, wytrwałego zbieracza różnych naszych dawnych pamiątek, znajduje się nadzwyczaj cenny i piękny dzban szklany, pochodzący z czasów piastowskich, a więc mający przeszło pięćset lat. Dzban ten zresztą dochował się tak długo jedynie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Został on mianowicie utopiony, zapewne przypadkowo w rzece Sanie pod Przemyślem i przeleżał tam kilka wieków, wydobyto go bowiem dopiero w r. 1860, a więc 50 lat temu, przy kopaniu studni, w nizinie, będącej dawnem, średniowiecznem łożyskiem tej rzeki.

Czemże jednak jest wiek tego dzbana piastowskiego w porównaniu ze starożytnością naczyń szklanych dawnych Egipcyan i innych ludów starożytnych. Niektóre z takich naczyń pochodzą aż z czasów przedchrystusowych, a mimo to dochowały się do dzisiaj i możemy je podziwiać w różnych muzeach jeszcze i teraz.

Pomimo więc wielkiej kruchości nawet i szkło może trwać bardzo długo.

W naturze szkła nie można znaleźć nigdzie, jest to bowiem wyrób sztuczny. Istnieje natomiast niejeden minerał, mniej lub więcej przezroczysty, częstokroć nie gorszy pod tym względem od szkła. Dla wielu atoli powodów żaden nie może go zastąpić w zupełności.

Wielką przezroczystością odznacza się dyament, najcenniejszy z drogich kamieni. Bardzo przezroczysty jest kryształ górny, krewniak tego samego piasku, który stanowi najzwyklejszy materyał do wyrobu szkła. Kryształu górnego używa się nawet na szkła do przyrządów optycznych, a dawniej szlifowano z niego naczynia i przedmioty zbytkowne. Również bardzo przezroczysty jest minerał zwany szpatem islandzkim.

Wszystkie atoli takie minerały nie mogą równać się pod względem użyteczności ze szkłem, przedewszystkiem dlatego, że są stosunkowo rzadkie i przeważnie bardzo drogie, nie nadają się więc na wyrób przedmiotów powszednich. Nie znajdują się przytem zwykle w tak wielkich bryłach, aby z nich można było wyciosywać tafle na szyby, nie mówiąc już o trudności wyrabiania z nich różnych naczyń za pomocą szlifowania lub ciosania.

Minerał, któryby mógł skutecznie współzawodniczyć ze szkłem, musiałby być najpierw bardzo pospolity, a następnie obok przezroczystości, posiadać jeszcze własność łatwego łupania się na grubsze lub cieńsze płyty. Minerał o takich własnościach istnieje rzeczywiście i bywa nawet używany na wyrób przedmiotów codziennego użytku. Jest nim mika, łupiąca się na cieniutkie tafelki, z których robią czasami wierzchy do pudełek. W Syberyi, gdzie minerał ten występuje w dużych płytach, używają ich na szyby do okien. Wogóle zaś robią z nich szybki do latarń, cylindry do lamp, okienka do wielkich pieców fabrycznych, a to dla znacznej odporności na działanie gorąca, jaką się odznacza mika: topi się ona nadzwyczaj trudno i, co jest jeszcze ważniejsze, nie pęka przy zetknięciu z ogniem, jak się to nieraz zdarza ze szkłem.

Pod tym względem przewyższa je stanowczo, jak również giętkością cienkich płytek, ale za to pozostaje znacznie w tyle pod względem przezroczystości. Zresztą wogóle minerał ten nie znajduje się wszędzie i nie zawsze można natrafić na tak wielkie płyty, aby można było z nich robić całe szyby. Na wyrób zaś naczyń mika nie nadaje się wcale.

(Dokończenie nastąpi.)

PRAKTYCZNE RADY.

— **Starzyzna źródłem chorób.** Ludzie tak się przyzwyczajają do nabywania wszelkiej tandety i taniej starzyzny, że nie pamiętają nawet o tem, iż dzięki takiej niby oszczędności narażają się na choroby i śmierć. Ten i ów zdrowy przedtem człowiek, zachorował niewiadomo z jakiej przyczyny i umarł na szkarlatynę, suchoty lub tyfus. Ani domyślił się niejeden, że człowiek ten zaraził się od ubrania, które kupił za tanie pieniądze u żyda handlarza, albo, że spał w pościeli, którą otrzymał w spadku po zmarłej ciotce. Wszystkie te pierzyny, poduszki, kożuchy i t. p. rzeczy kupowane po zmarłych, są zarażone i każdy, kto z nich będzie korzystał, może zapaść na tę samą chorobę, jak ten, po kim te szmaty pozostały. Całe setki przykładów podobnych można wskazać, a tysiące ludzi, nie wiedząc o tem, pada ofiarą suchot i innych zaraźliwych chorób.

— **Mycie karafek szklanych.** Dobrą garść suchych skorupek od jaj pognieść w ręku, wrzucić do karafki, wsypać małą łyżeczkę zwyczajnej soli i wlać łyżkę kuchennego octu, łyżkę zimnej wody. Ująć ręką szyjkę karafki a potem z góry na dół poruszać prędko. Skorupki od jaj jako twarde i ostre obijają się o wnętrze karafki i zabierają osady, jakie się potworzyły. Mieszać tak wszystko dość długo, potem zawartość wylać, karafkę wodą zimną wypłukać, a gdy się okaże, że karafka jeszcze nie jest przezroczysta, to zabieg powyżej opisany powtórzyć. Karafkę myć częściej, a osadu się nie dopuści.

— **Chlorek w praniu.** Nadzwyczaj ostrożnie trzeba postępować z użyciem chlorku, niszczy on nawet grube bardzo płótno. Jeżeli przez nieumiejętne pranie bielizna jest zażółcona, to np. na 100 sztuk bielizny wziąć odrobinę chlorku, ten ugotować i wlać do dużej ilości zimnej wody, w której się na całą noc bieliznę moczy, potem w świeżej zimnej wodzie bieliznę starannie wypłókać. Używać bardzo rzadko tego sposobu przy praniu.

Chlorek nieostrożnie użyty spali płótno czy perkal tak, że dziury w bieliźnie się potworzą.

Bielizna żółknie, gdy za długo leży nieprana, gdy ta czynność nie jest zrobioną starannie, gdy mydło nie jest dobrze z bielizny wyprane, gdy ilość tegoż nie była dostateczną, gdy bielizna była prana bez uwagi, aby sztuki czyściejsze zostały wyprane najpierw.

Drukiem i nakładem „Prawdy" pod zarzadem Józefa Jondry w Krakowie.